

PÓŁBRAT

LARS SAABYE CHRISTENSEN

PRZEŁOŻYŁA IWONA ZIMNICKA

MARGINESY

Halvbroren

COPYRIGHT © Lars Saabye Christensen and Grif, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Iwona Zimnicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2024

(prolog)

– Bardzo dziękuję!

Stanąłem na palcach i najdalej, jak mogłem, wyciągnąłem rękę do Esther po resztę, dwadzieścia pięć øre z korony. Esther wychyliła się przez ciasne okienko, położyła pomarszczoną rękę na moich żółtych kędziorach i chwilę ją tak trzymała. Nie bardzo mi się to podobało, ale też i nie zdarzyło się po raz pierwszy, więc zacząłem się już przyzwyczajać. Fred dawno odwrócił się plecami, torebkę z kandyzem wsunął do kieszeni, a ja po sposobie, w jaki szedł, poznałem, że jest wkurzony. Fred był wkurzony, a nic bardziej nie mogło mnie zaniepokoić. Szurał butami po chodniku, jakby torował sobie drogę, głowę trzymał nisko między wysokimi, kościstymi barkami, jak gdyby parł pod silny wiatr wiejący w twarz i musiał do tego używać całej swojej siły, ale było przecież ciche majowe popołudnie, w dodatku sobota, a niebo nad Marienlyst, czyste i niebieskie, toczyło się powoli ku lasom za miastem niczym olbrzymie koło. – Czy Fred znów zaczął mówić? – szepnęła Esther. Kiwnąłem głową. – A co powiedział? – Nic. Esther się zaśmiała. – Biegnij już za bratem. Żeby sam wszystkiego nie zjadł.

Wysunęła rękę z moich włosów i przez moment ją wachała, a ja popędziłem dogonić Freda, przecież właśnie to pamiętam, tak działa mięsień pamięci, nie pożółkłe palce starej kobiety w moich kędziorach, lecz to, że biegnę i biegnę za Fredem, moim przyrodnim bratem, a dogonienie go jest prawie niemożliwe. Jestem małym młodszym bratem i zachodzę w głowę, dlaczego on jest taki wkurzony, czuję ostry czubek serca w piersi, a w ustach ciepły, nieprzyjemny smak, bo wybiegając na ulicę, pewnie przygryzłem sobie język. Ściskam w garści resztę,

rozgrzaną monetę, i biegnę za Fredem, za szczupłą, ciemną postacią wśród otaczającego nas światła. Zegar na budynku radia NRK wskazuje osiem po trzeciej, a Fred już usiadł na ławce przy krzakach. Pędzę przez Kirkeveien co sił w nogach, prawie nie ma ruchu, ponieważ jest sobota, przejeżdża tylko karawan, nagle na środku skrzyżowania nawala mu silnik i szofer w jednolicie szarym ubraniu wysiada, wali i wali w maskę, przeklinając, a wewnątrz samochodu, w podłużnym bagażniku za siedzeniami, stoi biała trumna, ale na pewno jest pusta, nikogo raczej nie chowają w sobotę po południu, grabarze z pewnością mają teraz wolne, a jeśli nawet ktoś w niej leży, to przecież w niczym mu to nie przeszkadza, bo zmarli mają chyba dużo czasu, tak sobie myślę, myślę tak, żeby myśleć o czymś innym, a temu szaremu szoferowi w czarnych rękawiczkach nareszcie udaje się ponownie uruchomić samochód i znika, odjeżdżając w kierunku Majorstuen. Wdycham głęboko ciężki zapach spalin i benzyny, przebiegam przez trawę, mijam malutkie przejście dla pieszych, sygnalizację świetlną i chodniki ułożone niczym w mieście dla karzełków, raz do roku prowadzono nas tu, żebyśmy się uczyli zasad ruchu drogowego od wysokich konstabli w mundurach z szerokimi, ciasno zapiętymi pasami. Właśnie tam, w tym małym miasteczku, przestałem rosnąć. Fred siedzi na ławce i patrzy całkiem w inną stronę. Siadam obok niego, jesteście tu teraz tylko my dwaj, w to sobotnie, majowe popołudnie.

Fred wsuwa do ust ostry kawałek cukru i długo go ssie, twarz mu bulgocze, widzę brunatną ślinę, która zaczyna lecieć mu pomiędzy warg. Oczy ma ciemne, prawie czarne, drżą, jego oczy drżą. Widziałem to już wcześniej. Fred milczy. Gołębie kołyszącym krokiem bezszelestnie przechadzają się po nędznej trawie. Czekam. I nie wytrzymuję dłużej. – Co się stało? – pytam. Fred przełyka, chuda szyja mu drga. – Nie mówię z pełnymi ustami.

Fred wsuwa więcej cukru między zęby i powoli go miażdży. – Ale dlaczego jesteś taki wkurzony? – szepczę. Fred zjada cały kandyz, zgniata brązową torebkę i ciska ją na chodnik. Z góry nadlatuje mewa, płoszy gołębie, z krzykiem opada na asfalt i wzbija się na latarnię. Fred odgarnia grzywkę do tyłu, ale ta zaraz spada mu z powrotem na czoło,

zostawia ją tak. Wreszcie się odzywa. – Co ty powiedziałeś tej babie? – Esther? – A komu? Mówicie sobie po imieniu? Jestem głodny i czuję mdłości. Mam ochotę położyć się na trawie i zasnąć tam, wśród gołębi. – Chyba nie pamiętam, co powiedziałem. – Na pewno sobie przypomnisz. Jak się trochę zastanowisz. – Słowo honoru, Fred. Nie pamiętam. – To dlaczego ja pamiętam? Skoro ty nie pamiętasz? – Nie wiem, Fred. To dlatego jesteś wkurzony? Nagle kładzie mi rękę na głowie. Kulę się. Jego dłoń jest zaciśnięta. – Głupi jesteś? – pyta. – Nie. Nie wiem, Fred. Nie bądź taki, dobra? Proszę cię. Zostawia rękę w moich kędziorkach. – Proszę? Ciepło, coraz cieplej, gorąco, mały! – Nie mów tak, dobra? Proszę cię. Fred przesuwa palcami w dół po mojej twarzy, czuję słodki zapach, jak gdyby smarował mnie klejem. – Powiedzieć ci dokładnie, co powiedziałeś? – Tak. Powiedz. Fred pochyla się nade mną. Nie mogę mu spojrzeć w oczy. – Powiedziałeś: b a r d z o d z i ę k u j ę.

Właściwie poczułem ulgę. Sądziłem, że być może powiedziałem coś o wiele gorszego, coś, czego nigdy nie powinienem był wymówić, coś, co po prostu mi się wyrwało, słowa, o których istnieniu nie wiedziałem, na przykład pizda. Odkaszlnąłem. – Bardzo dziękuję? Tak powiedziałem? – Tak. Powiedziałeś, do cholery, b a r d z o d z i ę k u j ę! Fred wykrzyczał to, chociaż siedzieliśmy na tej samej ławce, blisko siebie. – B a r d z o d z i ę k u j ę! – krzyknął. Nie całkiem zrozumiałem, o co mu chodzi. A teraz wystraszyłem się jeszcze bardziej. Czułem, że zaraz będę musiał iść do ubikacji. Wstrzymałem oddech. Bardzo chciałem odezwać się właściwie, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie rozumiałem, o co mu chodzi. B a r d z o d z i ę k u j ę. Nie mogłem też zacząć teraz płakać. Fred jeszcze bardziej by się wkurzył albo by się ze mnie śmiał, a to chyba najgorsze ze wszystkiego. Zgiąłem się wpół. – I co? – szepnąłem. Fred jęknął. – I co? Chyba jednak jesteś głupi. – Nie jestem głupi, Fred. – A skąd to wiesz, co? Musiałem się zastanowić. – Mama tak mówi. Że nie jestem głupi. Fred przez chwilę siedział w milczeniu. Nie miałem śmiałości na niego spojrzeć. – No a co mama mówi o mnie? – To samo – odparłem prędko. Poczułem jego rękę na ramieniu. – Chyba nie okłamujesz brata? – powiedział Fred cicho. Chociaż jestem twoim bratem tylko w połowie? Podnios-

łem głowę. Oślepiło mnie otaczające nas światło. Słońce jakby wypełniło się dźwiękiem, wysokim przenikliwym dźwiękiem dochodzącym ze wszystkich stron. – To dlatego jesteś na mnie taki zły, Fred? – Dlaczego? – Dlatego że jestem tylko twoim półbratem? Fred wskazał na moją rękę, w której wciąż trzymałem monetę, dwudziestopięcioórwkę, rozgrzaną i lepka, jak płaski cukierek, który ktoś długo ssał, a potem wypłuł. – Czyja ona jest? – spytał Fred. – Chyba nasza. Fred kilkakrotnie kiwnął głową, a mnie z radości aż się zrobiło gorąco. – Ale mogę ci ją dać – powiedziałem prędko. Chciałem mu oddać monetę. Fred siedział i tylko na mnie patrzył. Znów się zaniepokoiłem. – No to dlaczego mówisz „bardzo dziękuję”? Skoro dostajesz z powrotem pieniądze, które są nasze? Nabrałem powietrza. – Tak tylko powiedziałem. – Następnym razem lepiej się zastanów, dobra? – Dobra – szepnąłem. – Bo nie chcę mieć brata, który robi z siebie durnia. Chociaż jesteś tylko moim przyrodnim bratem. – Dobra. Będę się zastanawiać. – „Bardzo dziękuję” to zasrane wyrażenie. Nigdy nie mów „bardzo dziękuję”. Rozumiesz? Fred wstał, splunął gęstą brązową śliną, poszybowała wysokim łukiem i głośno upadła na trawę na wprost przed nami. Zobaczyłem, że pełźnie do niej gromadka mrówek. – Pić mi się chce – oznajmił Fred. Od kandyzu zawsze cholernie chce mi się pić.

Znów poszliśmy do Esther, do kiosku w bramie dokładnie naprzeciwko kościoła na Majorstuen, białego kościoła, w którym pastor nie chciał ochrzcić Freda, a potem odmówił ochrzzczenia mnie, ale tylko ze względu na imię. Stałem przed okienkiem, na palcach, Fred oparł się o rynnę, podniósł rękę i skinął głową, jakbyśmy uzgadniali coś wielkiego. Pokazała się Esther, uśmiechnęła się na mój widok i musiała jeszcze raz dotknąć moich kędziorów. Fred wysunął język z ust najdalej, jak mógł, udając, że rzyga. – Co tym razem, proszę małego pana? – spytała Esther. Strząsnąłem jej palce z głowy. – Napój w torebce. Czerwony. Spojrzała na mnie trochę zdziwiona. – Tak, tak. Zaraz będzie czerwony napój w torebce. Oczywiście. Wyjęła odpowiednią torebkę. Fred stał obok, w cieniu, lecz również jego niemal oślepiął blask bijący od pobielonej ściany kościoła po przeciwnej stronie. Wpatrywał się we mnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Widział wszystko. Słyszał

wszystko. Prędko włożyłem monetę w dłoń Esther, a ona zaraz wydała mi pięć øre. – Proszę – powiedziała. Popatrzyłem jej w oczy. Stałem na palcach, patrząc jej w oczy, kilkakrotnie przełknąłem ślinę, a nad nami wciąż powoli przetaczało się ku lasom niebo, niczym olbrzymie błękitne koło. Pokazałem na pięćørówkę. – Ona jest nasza – oznajmiłem głośno. Niech pani to sobie zapamięta! Esther mało nie wypadła z wąskiego okienka. – Rany boskie! Co w ciebie wstąpiło? – Nie ma za co dziękować – dodałem. A Fred wziął mnie za ramię i pociągnął w górę Kirkeveien. Dałem mu torebkę z napojem. Nie miałem ochoty na napój. Fred zębami zrobił dziurę w rogu i wycisnął napój z torebki, czerwona smuga snuła się za nami. – Nieźle – stwierdził. Poprawiasz się. Bardzo się ucieszyłem. Chciałem mu też oddać pięćørówkę. – Możesz ją zatrzymać – oświadczył. Zacisnąłem palce na miedziaku. Mógłbym nim grać w monety, gdyby ktoś chciał ze mną w to grać.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

Fred westchnął głęboko, a ja się wystraszyłem, że znów się wkurzy. Byłem gotów odgryźć sobie język i go połknąć. On jednak objął mnie ramieniem i wycisnął ostatnią kroplę soku z torebki do rynsztoka. – Pamiętasz, o co cię wczoraj pytałem? – pyta. Pospiesznie kiwam głową i ledwie śmiem oddychać. – Nie – szepczę. – Nie? Nie pamiętasz? Pamiętam. Ale nie chcę pamiętać. I nie potrafię tego zapomnieć. Wolałbym mimo wszystko, żeby Fred nie zaczął znów mówić. – Nie, Fred. – Mam cię zapytać jeszcze raz? – Tak – szepczę. A Fred się uśmiecha. To znaczy, że nie jest wkurzony, skoro się tak uśmiecha.

– Chcesz, żebym zabił ci ojca, Barnum? – pyta.

Mam na imię Barnum.

OSTATNI SCENARIUSZ

(festiwal)

Trzynaście godzin w Berlinie i już wrak. To dzwonił telefon. Słyszałem go. Obudził mnie. Ale ja byłem gdzie indziej. Byłem obok. Byłem odłączony. Byłem nieuziemiony. Nie miałem długiego sygnału, tylko serce, które waliło ciężko, nierytmicznie. Telefon dalej dzwonił. Otworzyłem oczy, wynurzając się z płaskiej ciemności bez obrazów. Mogłem teraz zobaczyć swoją dłoń. Nie był to szczególnie piękny obraz. Dłoń się zbliżyła. Dotknęła mojej twarzy, na próbę, jak gdyby obudziła się z kimś obcym w łóżku, przyczepiona do ramienia innego człowieka. Na widok krótkich palców zrobiło mi się nagle niedobrze. Leżałem dalej. Telefon nie przestawał dzwonić. Słyszałem jakieś ciche głosy, od czasu do czasu stękanie, czyżby ktoś już za mnie odebrał? No to dlaczego ciągle dzwonił? Dlaczego ktoś był w moim pokoju? Czyżbym mimo wszystko nie położył się sam? Odwróciłem się. Zorientowałem się, że głosy dochodzą z telewizora. Dwaj mężczyźni z jedną kobietą. Nie wyglądała na zadowoloną, raczej na obojętną. Miała tatuaż na pośladku, motyla, w żałośnie niewłaściwym miejscu. Posiniaczone uda. Błdzi mężczyźni z nadwagą prawie nie mieli erekcji, lecz się nie podawali, stękali głucho, biorąc kobietę ze wszystkich możliwych stron. Było to nieporadne i ponure. Obojętność na twarzy kobiety na moment zastąpił grymas bólu, kiedy jeden z mężczyzn trzepnął ją obwisłym fiutem w usta i uderzył. Dłoń zniknęła z mojej twarzy. Zaraz potem obraz zgasł. Gdybym wystukał numer mojego pokoju, mógłbym jeszcze przez dwanaście godzin oglądać pay-tv. Nie chciałem już nic oglądać. Nie pamiętałem numeru pokoju. Leżałem w poprzek łóżka, do połowy wypełzłem z marynarki, prawdopodobnie podejmując próbę zaśnię-

cia w przyzwoity sposób, rozebrany i normalny, ale najwyraźniej dalej nie dotarłem, zanim zgasło światło w najdalszej pakamerze w lewym skrzydle głowy. Tak, jeden but stał na parapecie. Czyżbym wcześniej sam tam stał i podziwiał widok, czy też myślałem o czymś zupełnie innym? Możliwe. Niemożliwe. Nie miałem pojęcia. Bolało mnie kolano. Znow odnalazłem rękę. To była moja ręka. Pchnąłem ją w stronę nocnego stolika, ale kiedy tam zawisła, jak chory ptak z rozłożonymi skrzydłami nad białym szcurem mrugającym czerwonym, złowieszczym okiem, telefon przestał dzwonić. Ręka pofrunęła do domu. Od tyłu nadciągnęła cisza, rozsunała naprężony zamek błyskawiczny na moich plecach i jęzorem z żelaza oblizała mój kręgosłup. Nie poruszałem się przez długi czas. Musiałem odzyskać poziom. Zielona bańka powietrza powinna wkrótce znieruchomieć w przekrzywionym mięsie, w zagłębieniu duszy. Niczego nie pamiętałem. Wielka gumka do ścierania popracowała nade mną, jak tyle razy wcześniej. Niemało takich gumek zużyłem. Pamiętałem jedynie, jak się nazywam, no bo kto mógłby zapomnieć takie imię: Barnum. Barnum! Za kogo właściwie uważają się ci rodzice, którzy skazują swoich synów i swoje córki na dożywotnie więzienie za kratami liter? Nie możesz po prostu zmienić imienia? – pytali ci, którzy nie wiedzieli, o czym mówią. Bo to nie pomaga. Imię prześladuje cię podwójnym wstydem, jeśli próbujesz się go pozbyć. Barnum! Pół życia przeżyłem z tym imieniem. Już prawie zaczynałem je lubić. To było najgorsze. Nagle zorientowałem się, że trzymam coś w drugiej ręce, kartę klucz, neutralny płatek plastiku z układającą się w określony wzór pewną liczbą dziurek, który można wsunąć do bankomatu drzwi, a potem opróżnić konto pokoju, jeśli nie wyczyścił go już poprzedni gość, który zostawił jedynie obgryzione paznokcie pod łóżkiem i zagłębienie w materacu po ciężkich snach. Mogłem znajdować się wszędzie. W pokoju w Oslo, w pokoju na Røst, w pokoju bez widoku. Walizka stała na podłodze, stara, milcząca walizka, jeszcze nieotwarta, zresztą i tak pusta, nie było w niej okłasków, tylko scenariusz, w pośpiechu nakreślone strony. Wszedłem i wyszedłem. To ja. Wszedłem, wyszedłem i przyczołgałem się z powrotem. Ale jeszcze umiałem czytać. Na krześle przy oknie wisiał biały hotelowy

szlafrok. I na nim zobaczyłem nazwę hotelu. Kempinski. Kempinski! A potem usłyszałem miasto. Usłyszałem Berlin. Usłyszałem koparki ze wschodu i kościelne dzwony na zachodzie. Podniosłem się powoli. Ten dzień już trwał. Zaczął się beze mnie. Teraz coś sobie przypomniałem. Byłem umówiony. Czerwone oko telefonu nie przestawało mrugać. To była jakaś wiadomość dla mnie. Pieprzyłem to. Peder mógł poczekać. Kto mógł dzwonić i zostawiać wiadomości o tej porze, jak nie Peder? Oczywiście, że to Peder. On może poczekać. Peder umie czekać. Ja go nauczyłem. Nikt, kto zachował choć odrobinę rozumu, nie wyznacza spotkań rano przed lunchem pierwszego dnia pobytu w Berlinie, tylko Peder, mój przyjaciel, mój partner, mój agent, on umawiał się przed śniadaniem, bo Peder stał się człowiekiem dobrze ułożonym. Było za dwie wpół do pierwszej. Cyfry, kanciaste pismo pod martwym ekranem telewizora, świeciły na zielono i zmieniły się we wpół do pierwszej dokładnie pomiędzy dwoma nieformalnymi uderzeniami serca. Zrzuciłem ubranie, otworzyłem minibar i wypłem dwa jägermeistry. Utrzymały się. Wypłem jeszcze jednego i poszedłem do łazienki wyrzygać się na wszelki wypadek. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłem. Zakładka na rolce papieru toaletowego była nietknięta. Nawet nie byłem w kiblu. Umyłem zęby, narzuciłem szlafrok, wsunąłem stopy w białe hotelowe kapcie i przed wyjściem zobaczyłem, że czerwone oko telefonu wciąż się na mnie gapi, ale Peder mógł zaczekać, taką miał pracę. Peder potrafił głądzić, dopóki pokój, w którym siedział, nie stanął w ogniu.

Zjechałem windą na basen, wypożyczyłem kąpielówki, wypłem piwo i jeszcze jednego jägermeistra; zdołałem przepłynąć trzy długości, zanim poczułem się wycieńczony. Leżałem na skorupie wody. Z niewidocznych głośników płynęła muzyka klasyczna, oczywiście Bach, wersje syntetyczne, nietknięte ludzką ręką. Kilka pań unosiło się na wodzie. Robiły to po amerykańsku, leżały nieruchomo na plecach z ramionami jak skrzydła, były w okularach słonecznych, które musiały stale podsuwać na czoło, żeby lepiej widzieć, żeby napotkać czyjeś spojrzenie, bo może o basen zahaczy Robert Downey, Al Pacino w butach na koturnach albo mój stary przyjaciel Sean Connery, postawiłbym mu wtedy

dużego drinka i podziękował za poprzednie miłe spotkanie. Ale na horyzoncie nie pojawił się nikt z tego piętra niebios, a na mnie nie warto było zawiesić oka. Panie z powrotem nasunęły okulary na oczy i dalej unosiły się na wodzie, wolno poruszając sinymi ramionami, zanurzone w chlorze anioły o nadmuchanych brzuszku. Nieoczekiwanie poczułem się od tego bardzo spokojny, wycieńczony, spokojny i prawie wesoły. Ja też unosiłem się na wodzie. Unosiłem się po norwesku, z rękami wzdłuż boków, poruszając palcami jak szuflami, żeby utrzymać równowagę, pływalność, sunąłem nogami do przodu. Osiągnąłem teraz poziom. Potem pojawił się lęk, zawsze nadciągał równie gwałtownie, chociaż wiedziałem, że przyjdzie, jak śnieg. Lęk zaczął podskubywać mój spokój. Lęk wypijał mój spokój. Czy coś się wydarzyło w nocy? Powinienem komuś kupić kwiaty, kogoś przeproszać, prosić o wybaczenie, pracować dla kogoś za darmo, lizać po tyłku? Nie miałem pojęcia. Wszystko mogło się zdarzyć. Znalazłem się w niewoli podejrzeń. Obróciłem się, robiąc fale, które zakołysały amerykańskimi damami, wspiąłem się po chropowatych stopniach jak garbaty hermafrodyta z niedorozwojem organów płciowych, usłyszałem cichy śmiech ponad wodą i w tej samej chwili z szatni wyłonił się Cliff Richard, naprawdę, nie kto inny, w hotelowym szlafroku i kapciach. Włosy leżały mu na głowie jak koturn, a twarz miał świeżą, naciągniętą. Przypominał mumię, która uciekła z piramidy lat sześćdziesiątych. Innymi słowy, trzymał się świetnie i panie zaczęły się trochę popisywać, oddychały jak przyjacielsko usposobione morswiny, chociaż Cliff być może nie zajmował najwyższego miejsca na ich listach marzeń. Dla mnie jednak był więcej niż dobry. Sprawił mianowicie, że na chwilę zapomniałem o lęku, samą swoją obecnością podarował mi chwilę przerwy, tak jak wtedy, w tamtym życiu, które jest naszą historią, moją i Freda, i które nazywam po prostu w t e d y, kiedy siedziałem w naszym pokoju, wtedy, na Kirkeveien, z uchem przyklejonym do gramofonu i słuchałem *Livin' Lovin' Doll*, a Fred niemy leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami, nie mówił od dwudziestu dwóch miesięcy, tyle samo, ile trwa ciąża słoni, nie wypowiedział ani jednego słowa od śmierci Starej i wszyscy już zrezygnowali z nakłaniania go do mówienia, matka, Boletta, wy-

chowawczyni, szkolny dentysta, Esther z kiosku, Bóg i zwykły człowiek, nikt nie zdołał wyciągnąć z niego ani słowa, a przynajmniej nie ja. Ale kiedy podniosłem ramię gramofonu, chcąc puścić *Livin' Lovin' Doll* po raz dwudziesty, Fred wstał z łóżka, wyrwał rączkę, zszedł na podwórze, cisnął cały gramofon do śmietnika i zaczął mówić. Potrzebny był do tego jakiś Cliff. I za to chciałem mu podziękować. Ale sir Cliff Richard po prostu ominął mnie szerokim łukiem, wsiadł na rower treningowy pomiędzy lustrami w rogu i ruszył ku własnemu odbiciu, ani trochę się do niego nie zbliżając, jak mumia z łokciem tenisisty. A moja ręka przesunęła się po ladzie baru i podniosła pierwszą rzecz, na którą natrafiła, dżin z tonikiem, prawdziwy cukierek. Cztery zegary wskazywały czas w Nowym Jorku, Buenos Aires, Dżakarcie i Berlinie. Poprzestałem na Berlinie. Za piętnaście druga. Peder się teraz pocił. Peder konwersował, przepraszał, przynosił piwo, kawę, sandwicze, dzwonił do hotelu, poszukiwał mnie, zostawiał wiadomości, biegał po centrum prasowym, kiwał głową wszystkim, których poznawał, kłaniał się wszystkim, których nie znał, i wręczał wizytówki wszystkim, którzy nie poznawali jego. Prawie słyszałem, jak mówi: Barnum niedługo przyjdzie, na pewno po prostu poszedł okrężną drogą, wiecie, jak to jest, prawda, dobre pomysły najczęściej rodzą się w roztargnionych głowach, ja jestem tylko praktycznym umysłem, który ma je uwidocznić, wypijmy za Barnuma! Owszem, Peder zdecydowanie się teraz pocił i dobrze mu tak. Wybuchnąłem śmiechem, śmiałem się głośno na brzegu basenu w hotelu Kempinski, w czasie gdy Cliff Richard ścigał się na rowerze z trzema lustrami i tłustymi spojrzeniami amerykańskich pań, i wtedy, równie nagle jak pojawiły się lęk i śmiech, tak samo uderzył mnie cień. Co we mnie wstąpiło? Cóż za opaczna ekstaza mnie ogarnęła, jakie czarne szczęście mnie pochłonęło? Czy to ostatni śmiech, zanim nadejdzie to, o czym jeszcze nic nie wiedziałem, lecz czego mimo wszystko bałem się najbardziej? Zrobiło mi się zimno. Przez moment zachwiałem się na zielonych marmurowych płytkach. Wessałem w siebie śmiech. Przywołałem go z powrotem. To nie była cisza przed burzą. To była ta cisza, od której koty drżą, na długo zanim spadnie deszcz.

Wziąłem prysznic i przez chwilę rozważałem, czy nie położyć się w solarium. Muśnięcie opalenizny i lekki masaż twarzy mogłyby mi dobrze zrobić przed spotkaniem. Ale wkroczyłem w fazę nieporadności i obojętności. Zamiast tego poszedłem więc po piwo. Kelner, podając mi butelkę, ledwie się uśmiechnął. Zaskoczyło mnie nagle, że jest taki młody. Nosił hotelowy uniform z niezgrabną godnością, niemal z przekorą, jak dziecko, które podkradło ojcu ciemny garnitur. Podejrzewałem, że pochodzi z byłej NRD, coś w tej przekorze kazało mi tak sądzić. Rozpoczął długą wspinaczkę od pływalni w hotelu Kempinski. – Mister Barnum? – spytał cicho. Najwyraźniej sądził, że to moje nazwisko. Nie on jeden. Wybaczyłem mu. – Słucham? To ja. – Jest dla pana wiadomość. Podał mi szeroką kopertę z logo hotelu. Peder i tak mnie znalazł. Chociaż schowałem się za rusztowaniami do suszenia ryb na Røst, znalazł mnie. Kiedy nocowałem w izbie wytrzeźwień, na ogół budził mnie Peder. W Cochs Hospits ocknąłem się, bo Peder walił w drzwi. Pochyliłem się nad barem. – Jak ci na imię? – spytałem. – Kurt, sir. Ruchem głowy wskazałem na lustro w rogu. – Widzisz tego faceta, Kurt? Tego, co cały czas pedałuje? – Tak, sir. Widzę. – Ale widzisz, kto to jest? – Niestety, sir. Nie. A ja zrozumiałem, powoli, lecz bez wątpliwości, że też się zestarzałem. – Nic nie szkodzi, Kurt. Zanieś mu colę. Light. Dopisz ją do mojego rachunku.

Złożyłem kopertę we czworo i wsunąłem do kieszeni szlafroka. Skoro Peder chciał, żebym i ja się pocił, jego życzenie musiało się spełnić. Zabrałem piwo do sauny i zająłem miejsce na najwyższej półce. Siedzieli tam już ludzie, którzy wydali mi się znajomi, lecz nie całkiem potrafiłem ich umiejscowić, dlatego przywitałem się, nie zatrzymując wzroku na dłużej, jedynie lekkim skinieniem głowy, to była moja specjalność, mój osobisty gest dla świata. Ale tamci patrzyli wprost na mnie bez zażenowania. Miałem jedynie nadzieję, że nie ma tu moich rodaków, scenarzystów z Norsk Film, dziennikarzy od rozrywki, plotkarzy z kolorowych magazynów i innych dyrektorów. Natychmiast pożałowałem tej okrężnej drogi, wybranej na gorąco, w tym miejscu bowiem wszyscy powinni być nadzy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Człowiek owinięty w pasie zwykłym ręcznikiem stawał się intru-

zem, wprawiającym resztę w zakłopotanie. Byłem tym ubranym, przez którego ich nagość stała się nagle widoczna i nieznośna, wszystkie te żyłaki, spłaszczone tyłki, wałki na brzuchu, obwisłe piersi, blizny, fałdy skóry, znamiona, być może złośliwe. Musiałem zdjąć ręcznik. Nie pozostawało nic innego. Wyjść nie mogłem, ponieważ to ujawniłoby moje tchórzostwo i przystawiono by mi stempel z napisem „podejrzany”, „podglądacz”, a do końca festiwalu pozostawały jeszcze trzy dni. Z niechęcią odwinąłem ręcznik, pokazując im, że ja również pod wszystkimi moimi kostiumami potrafię być naturalny, że moja nagość ma się dobrze. Siedziałem tak, ze skrzyżowanymi nogami, obnażony, w niemieckiej koedukacyjnej saunie i dziwiłem się, że w tym praworządym, pozbawionym poczucia humoru kraju człowiek czuje się wręcz zobowiązany do wspólnego siedzenia mężczyzn z kobietami, jeśli chce się trochę spocić. W bliskiej naturze Norwegii, która ledwie oderwała się od lodowców, coś podobnego wywołałoby natychmiast kryzys rządowy i listy od oburzonych czytelników. Ale w tym nakazie tkwiła mimo wszystko swoista logika. W hotelu była tylko jedna sauna, miały z niej korzystać zarówno kobiety, jak i mężczyźni, nago i jednocześnie. Gdyby to było dobrowolne, stałoby się nieprzyzwoite. Musiało to mieć jakiś związek z wojną. Wszystko tutaj miało jakiś związek z wojną, więc pomyślałem o obozach koncentracyjnych, o ostatnim przysznicu, podczas którego mężczyzn od kobiet rozdzielali, raz na zawsze, pedantyczni masowi mordercy; istniały nawet oddzielne obozy dla kobiet, Ravensbrück, i na moment uznałem, niemal podniecony, że można do czegoś wykorzystać ten skok, myślowy skok, od eksterminacji do tego przypadkowego spotkania w saunie hotelu Kempinski podczas festiwalu filmowego w nowym Berlinie. Lecz, jak ostatnio często się zdarzało, myśl uciekła, spadła, haczyk był za słaby, a kiedy umknęła, osunąłem się głębiej w wątpliwość. Co właściwie miałem do pokazania? Jakie historie byłem w stanie wysnuć? Ile można ukraść, zanim zostanie się przyłapanym? Ile trzeba kłamać, zanim ci uwierzą? Czyż nie byłem zawsze niedowiarkiem, zwyczajnym niedowiarkiem? Owszem, wątpiłem w większość rzeczy, nie mówiąc już o samym sobie, w ogóle miałem wątpliwości, czy istnieje coś, co można nazwać „mną”

w ponurych chwilach uważałem siebie za ograniczoną ilość mięsa funkcjonującego pod nazwą Barnum. Wątpiłem we wszystko, z wyjątkiem Freda, bo Fred był niewątpliwy, wyniesiony ponad wszelką wątpliwość. Przypomniało mi się, co zwykle powtarzał ojciec: ważne jest nie to, co widzisz, lecz to, co ci się wydaje, że widzisz. Opróżniłem butelkę i teraz rozpoznałem jedną z osób siedzących w saunie. Była to, jak się obawiałem, znana pani krytyk, stara znajoma, nie wymienię jej nazwiska, nazywaliśmy ją po prostu Sarną, bo przypominała nam zawsze jelenia na rykowisku. Swego czasu napisała, że jestem „volkswagenem wśród rolls-royce’ów”, ale nigdy nie czytałem tego artykułu, bo w tamtym czasie zachowywałem się niekulturalnie. Peder planował nawet wniesienie do sądu sprawy o zniesławienie, na szczęście nic z tego nie wyszło, lecz jeśli chciała się pojedynkować na metafory, to trafiła na niewłaściwego człowieka. Patrzyła teraz w moją stronę i zaczęła się uśmiechać, ale chociaż tutaj wydawała się o wiele mniej pompatyczna niż na łamach, jak gdyby wycięto ją heblem z przejrzałego owocu, wolałem nie odwzajemniać tego uśmiechu. W dodatku mogło się zdarzyć, że wymsknęłoby mi się coś, czego nigdy nie powinienem powiedzieć. Ta kobieta była moim złym znakiem. Co złego zapowiadała tym razem? Nie śmiałem o tym myśleć. Jednak się do niej uśmiechnąłem. – Niech was cholera! – powiedziałem. Pochyliłem się i mocno odkaslnąłem. To nie mogła być prawda. Język znów odmówił mi posłuszeństwa. Był sznurkiem, o który się potknąłem. Twój język jest jak ślizgawka, mawiał Fred. Tylko ja to usłyszałem. Niech was cholera. Sarna zdumiona podniosła wzrok, a ja kaslałem z całej siły, mało nie zwymiotowałem, i jeszcze raz na ratunek pospieszył mi Cliff Richard. W tej samej bowiem chwili wszedł do sauny z colą w rękę, przypominał cover *Living Lovin’ Doll*, na kilka sekund zatrzymał się przy klepsydrze, w której piasek opadał i narastał, jak gdyby czas był czymś, czego nie zostawia się za sobą, tylko odkłada na bok. Potem Cliff usiadł na samej górze, tam gdzie siedziałem również ja. Było ciasno. Wkrótce zrobiło się za gorąco. Strzałka zatrzymała się na dziewięćdziesiątce. Sarna miała dość. Wymknęła się, zasłonięta ręcznikiem, rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie. Śmiała się? Śmiała się ze mnie? Miała jakąś historię, którą będzie mogła opowiadać wie-

czorem przy barze? Ktoś polał kamienie wodą, rozległ się syk. Wilgoć ukazała się pod postacią wrzącej mgły. Odwróciłem się do Cliffa. Nie pocił się. Był suchy. Fryzura mu się nie popsowała. Miał ładną opaleniznę. Mogłem to teraz wreszcie powiedzieć. – Dziękuję – odezwał się nagle. Za colę. – To ja powinienem dziękować – stwierdziłem. Dziękuję. Cliff uniósł butelkę, uśmiechnął się. – Za co? – Dzięki twojej piosence mój brat przemówił – powiedziałem. Cliff na moment się zakłopotał. – Nie sprawiła tego moja piosenka, tylko łaska Boża.

Było za gorąco. Ciągnąc za sobą ręcznik, wyszedłem na niepewnych nogach, osłabiony i spragniony, jeszcze raz wzięłem prysznic, w pewnej chwili mignął mi Kurt z baru. Dyskretnie kiwnął głową i puścił do mnie oko. Był teraz moim człowiekiem. Pojechałem windą na górę do pokoju. Telefon wciąż świecił na czerwono. Podniosłem słuchawkę i opuściłem ją z powrotem, rzuciłem szlafrok na łóżko, przebrałem się w garnitur i do każdej kieszeni włożyłem po butelce z minibaru. Ten garnitur miał kilka kieszeni. Byłem uzbrojony w alkohol. Wypiłem ostatniego jägermeistra, utworzył piekącą kolumnę od żołądka do gardła, zjadłem łyżeczkę pasty do zębów i wsunąłem wkładki w nowe włoskie buty. Byłem gotów na spotkanie.

Cóż mogłem wiedzieć o tym wszystkim, co działo się tam, gdzie mnie nie było, o ruchach pozostających poza moim zasięgiem? Nie wiedziałem. Wciąż pozostawałem w niewiedzy, w niewoli podejrzeń, i nie chciałem o tym wiedzieć, kiedy stałem w sunącej wolno windzie z lustrami na wszystkich ścianach; nawet na suficie było lustro. Pragnąłem jedynie trwać w tym momencie, być człowiekiem współczesności, przeżywającym każdą sekundę oddzielnie, zamkniętym w najmniejszym ze wszystkich przedziałów czasu, w którym miejsca starcza jedynie dla mnie. Mignęła mi w lustrach moja twarz i pomyślałem o dziecku, które przewraca się, wstaje i zaczyna płakać dopiero wtedy, gdy widzi dookoła wystraszonych, zmartwionych ludzi, niczym spóźniony ból, echo szoku. Zdążyłem wypić jedną wódkę. Siwowłosy portier otworzył drzwi i chciał mnie odprowadzić z parasolem. Dałem mu pięć marek, żeby zostawił mnie w spokoju. Zasmucony popatrzył na banknot, który nagle zniknął w gładkich szarych palcach,

i nie mogłem stwierdzić, czy uraziłem go, dając za dużo, czy za mało. Przypominał służącego z epoki kolonialnej. To on pociągał za sznurki w hotelu Kempinski. To on zaginał końcówki papieru toaletowego. Wyszedłem na czerwony dywan, już wystrzępiony na brzegach. Przy krawężniku stały zaparkowane cztery czarne limuzyny. Żadna nie była dla mnie. W branży istnieje pewne stare powiedzenie: *No limo, no deal*. Pieprzę to. Wódka szczypała w gardle. Zapaliłem papierosa. Dwie ekipy telewizyjne, CNN i NDR, czekały, aż coś się wydarzy. Nad Berlinem zalegała cienka warstewka deszczu. Zapach popiołu. Dziki hałas z placów budowy. Dźwigi obracały się wolno, ledwie widoczne pod niskimi chmurami. Wyglądało to tak, jakby Bóg bawił się klockami Meccano. Tuż przed hotelem zatrzymała się jeszcze jedna limuzyna, długa biała lokomotywa z amerykańskimi proporczykami, i wysiadła z niej kobieta o najprostszych plecach, jakie w życiu widziałem. Na ratunek pospieszyło jej dziewiętnaście parasoli. Roześmiała się, a ten śmiech był skropiony whisky, nasmarowany dziegciem i wyszlifowany gruboziarnistym papierem ściernym. Wciąż się śmiejąc, ruszyła po czerwonym dywanie, machała szczupłą dłonią przemykającą się z elegancją kieszonkowca pomiędzy kroplami deszczu poza zasięgiem czarnych parasoli. Nikt nie potrafił przejść po czerwonym dywanie tak jak ona. To była Lauren Bacall. Nie kto inny, tylko Lauren Bacall. Obecna we własnym ciele, obecna w każdym jego gramie. Wypełniała je aż po koniuszki palców, po płatki uszu, po brwi. Kiedy zadarła brodę, parasole wywijały się na drugą stronę. Właśnie dokonała inwazji na Niemcy. Stałem, przyśrubowany do tego elektryzującego widoku: Lauren Bacall, krocząc powoli i wyniośle, mija mnie, a ja stoję w powstałym za nią wirze, to jak odwrócony znak, lustrzane *déjà vu*: mam to przed oczami, kino Rosenberg, rząd 14, miejsca 18, 19 i 20, *Wielki sen*, Vivian siedzi w środku, to takie bliskie i wyraźne, czuję nawet, jak nowy golf gryzie mnie w szyję, słyszę Lauren Bacall szepczącą do Humphreya Bogarta głosem, od którego wewnątrz ust pokrywa nam gęsia skórka, a szpik ogarnia niepokój: *A lot depends on who's in the saddle*. Peder i ja jednocześnie obejmujemy Vivian, dotykam ręką palców Pедера, żaden z nas nic nie mówi, a Vivian się uśmiecha, uśmiecha do siebie, odchyła

się w tył, ku naszym ramionom. Ale kiedy odwracam się do niej, widzę, że płacze.

A teraz stałem na deszczu w Berlinie, przy czerwonym dywanie przed hotelem Kempinski. Coś się wydarzyło. Ktoś wciąż wołał, a ja nie słyszałem żadnego dźwięku. Lampy były pogaszone, kamery odkręcone, limuzyny odjechały. Ten sam portier delikatnie ujął mnie za ramię. – Wszystko w porządku, sir? – Co? Jego twarz się zbliżyła. Wszyscy muszą się nade mną pochylać. – Sir, wszystko z panem w porządku? Skinąłem głową. Rozejrzałem się. Dźwigi stały nieruchome, Bogu nie chciało się już dłużej bawić klockami Meccano, a może to tylko chmury gnały po niebie w przeciwnym kierunku i przez to tak wyglądało. – Na pewno, sir? Rynsztokiem płynął papieros. Komuś wypadł aparat fotograficzny. Leżał na ziemi i przewijał film. – Może pan załatwić taksówkę? – Z przyjemnością, sir. Dmuchnął w gwizdek, który trzymał w pogotowiu. Wyciągnąłem banknot, chciałem mu go dać, zasłużył sobie. Ale portier pokręcił głową, nie patrząc na mnie. – Proszę to zatrzymać, sir. Prędko schowałem pieniądze do kieszeni. – Dziękuję – powiedziałem.

Przyjechała taksówka, portier otworzył mi drzwiczki. W samochodzie pachniało przyprawami albo kadzidłem. Na przednim siedzeniu leżał zwinięty dywanik modlitewny. – Zoo Palast – powiedziałem. Kierowca odwrócił się na moment i uśmiechnął. W czarnych ustach błysnął złoty ząb. – Mam się zatrzymać przy ogrodzie zoologicznym? Ja też nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. – Nie, przy Centrum Festiwalowym. Tam są zabawniejsze zwierzaki.

Jazda trwała pół godziny. Dojście piechotą zabrałoby pięć minut. Wypiłem jeden koniak i zasnąłem. We śnie ujrzałem obraz: Fred na podwórzu ciągnie trumnę po śniegu. Kierowca musiał mnie budzić. Byliśmy na miejscu. Śmiał się. Teraz to usłyszałem. To był miłosierny śmiech. Złoty ząb mnie oślepił. Zapłaciłem o wiele więcej, niż musiałem, a on chyba uznał, że to nieporozumienie, że jestem turystą, który nie potrafi liczyć, albo wstawionym szefem kina w za drogim garniturze. Chciał mi zwrócić pieniądze, ten uczciwy muzulmanin z Berlina, ale ja już byłem na chodniku, między ruinami i katedrami, między

małpami i gwiazdami. Jacyś ludzie natychmiast spróbowali mi sprzedać skórzaną kurtkę. Odepchnąłem ich. Przestało padać. Dźwigi kontynuowały zataczanie powolnych kół, niebo nad Berlinem zrobiło się nagle pogodne i prawie przezroczyste. Chłodne słońce padło mi prosto w oczy, a stadko gołębi uniosło się równocześnie i podziobało światło.

Wszedłem do Centrum Festiwalowego. Dwaj uzbrojeni strażnicy sprawdzili moją kartę akredytacyjną z małym zdjęciem, zrobionym poprzedniego wieczoru, *Barnum Nilsen, screenwriter*, nieco za długo wpatrywali się w moją twarz, ale przepuścili mnie przez strefę bezpieczeństwa, przez święte wrota oddzielające tych, co są stąd, od tych, co nie są stąd. Teraz byłem stąd. Ludzie biegali jak szaleńcy, z rękami pełnymi piwa, broszur, kaset, telefonów komórkowych, plakatów i wizytówek. Kobiety były wysokie i chude, miały upięte włosy, okulary na łańcuszku na szyi i obcisłe szare spódnice, wszystkie jakby z tego samego sklepu. Mężczyźni przeważnie byli grubi, niscy, w moim wieku, a w ich przekrwionych spojrzeniach odbijało się migotanie przedsiónek serca, wszyscy byliśmy do siebie podobni, nie do odróżnienia i przed końcem dnia co najmniej jeden z nas miał umrzeć. Na wielkim ekranie wyświetlano zwiastuny japońskiego filmu gangsterskiego. Estetyczny gwałt najwyraźniej stawał się modny. Zaakceptowano powolne zabijanie. Ktoś podał mi kieliszek sake. Wypiłem. Dostałem dolewkę. Dokonałem nalotu dywanowego na wątrobę. Australijska telewizja przeprowadzała wywiad z Billem Augustem. Znow miał tak samo białą koszulę. Nikt nie miał bielszych koszul niż Bille August. Właśnie o to powinni go spytać. Ile pan ma białych koszul? Jak często zmienia pan koszulę? W innym miejscu Spike Lee gestykulował przed kamerą. I przez to wszystko przedarł się Peder, węzeł krawata wisiał mu na środku brzucha, usta bez przerwy się poruszały, wyglądało to tak, jakby się hiperwentylował albo próbował ustanowić nowy rekord w biernym paleniu. Nie było wykluczone, że to Peder umrze w ciągu tego wieczoru. Zatrzymał się tuż przede mną, z trudem łapiąc oddech. – Ach tak – powiedział. Pękłeś. – Nigdy nie byłem szczelny. – Jak bardzo jesteś pijany? – Pięć i pół. Peder pochylił się bliżej, nozdrza mu wibrowały. – Pięć i pół? To mi wygląda raczej na karną dopłatę, Barnum. – Ależ skąd.

Mam kontrolę. Roześmiałem się. Lubiłem, jak Peder wracał do naszych starych dowcipów. Ale Peder się nie śmiał. – Gdzieś ty, do cholery, był? – W saunie. – W saunie? Wiesz, ile czasu tu siedzimy i czekamy na ciebie? Wiesz o tym? Peder szarpnął mnie za ramię. Był wyprowadzony z równowagi. – Cholera, nagadałem o tobie tyle pięknych rzeczy, że mało się, cholera, nie wyrzygam! Zaczął mnie ciągnąć w stronę działu skandynawskiego. – Uspokój się – powiedziałem. Już tu jestem. – Nie możesz sobie, do diabła, załatwić komórki?! Jak normalni ludzie?! – Nie chcę dostać raka mózgu, Peder. – To załatw sobie pager! Cholera, osobiście ci kupię pager! – Myślisz, że one działają w saunie? – Działają nawet na Księżycu! – Ty, Peder, i tak mnie wszędzie znajdziesz. Zatrzymał się nagle i długo mi się przyglądał. – Wiesz co? Coraz bardziej, cholera, przypominasz tego swojego szalonego półbrata! A kiedy Peder to powiedział, moment, mój bunkier, eksplodował i ze wszystkich stron napłynął do mnie czas. Złapałem Pedera za marynarkę i przycisnąłem do ściany. – Nigdy więcej tak nie mów! Nigdy! Peder patrzył na mnie ze zdumieniem, na spodniach miał sake. – Cholera, Barnum. Wcale tak nie myślałem. Chyba zaczęto się nam przyglądać. Była we mnie wściekłość, którą ledwie rozpoznawałem. Odczuwałem prawie przyjemność. Miałem się czego trzymać. – Pieprzę, co sobie myślisz! Ale nigdy nie porównuj mnie do Freda! Rozumiesz? Peder próbował się uśmiechnąć. – Rozumiem! Puść mnie już, Barnum. Musiałem odczekać chwilę. W końcu puściłem Pedera. Stał nieruchomo pod ścianą, zdziwiony i zakłopotany. Gniew spłynął ze mnie, pozostawiając po sobie jedynie wstyd, lęk i zażenowanie. – Nie chcę po prostu, żeby mi o nim przypominano – powiedziałem cicho. – Przepraszam – szepnął Peder. To było bezmyślne z mojej strony. – W porządku. Zapomnijmy o tym. Przepraszam. Wyjąłem chusteczkę i próbowałem zetrzeć japoński alkohol z jego spodni. Peder ani drgnął. – Pójdziemy na to spotkanie? – spytał. – A kto to jest? Peder westchnął. – Dwóch Duńczyków i Anglik. – Zabawne. Czy to dowcip? Dwóch Duńczyków i Anglik. – Mają biura w Londynie i Kopenhadze. Byli dość mocno zaangażowani w *Wożąc panią Daisy*. Mówiłem ci o tym wczoraj, Barnum. Wylałem mu sake również na buty. Uklęknąłem, starając się je wyczyścić naj-

piej, jak potrafiłem. Peder zaczął kopać. – Weź się w garść! – syknął. Wyprostowałem się. – Czego oni właściwie chcą? – Czego chcą? A jak myślisz? Oczywiście poznać ciebie. Uwielbiają *Wikinga*. – Dziękuję, Peder. Będziemy sobie teraz kadzić? – Nie. Teraz idziemy, Barnum.

Poszliśmy. Robiło się coraz mniej tłoczno. Jak zwykle stoisko norweskie znajdowało się na samym końcu, w kącie, nie wyszliśmy jeszcze poza *Niebezpieczne życie rybaka*, czterominutowy film z 1908 roku, kamień węgielny norweskiej melancholii, która wypchnęła nas na skraj Europy i festiwalu. Aby dotrzeć do Norwegii, należało zorganizować całą ekspedycję. Peder patrzył na mnie bardzo ponuro. – Jak idziesz, to brzmisz, cholera, jakbyś był minibarem. – Niedługo będzie pusty, Peder. Odkręciłem whisky i wypłem. Peder złapał mnie za rękę. – Potrzeba nam tego, Barnum. Mówię poważnie. – *Pani Daisy*? Czy to właściwie nie był naprawdę gówniany film? – Gówniany? Wiesz, ile dostał nominacji? To wielkie chłopaki. Większe niż my. – To dlaczego chciało im się czekać trzy godziny? – Mówiłem ci już, Barnum. Uwielbiają *Wikinga*.

Siedzieli w głębi baru przy stoliku w oddzielnym boksie. Byli po trzydziestce, mieli garnitury szyte na miarę, okulary słoneczne w kieszonkach na piersi, końskie ogony, kolczyki w uszach, wielkie brzuchy i wąskie spojrzenia. Byli mężczyznami nowoczesnymi. Już zaczęłam ich nie lubić. Peder odetchnął głęboko i podsunął węzeł krawata do góry. – Będziesz miły, uprzejmy i trzeźwy, Barnum? – I genialny. Poklepałem Pedera po plecach. Zupełnie mokre. Podeszliśmy do tamtych. Peder rozłożył ręce. – A oto i nasz wytęskniony przyjaciel! Zabłądził w zoo. Nie zauważył różnicy. Wstali, włączyli uśmiechy. Peder zniżył się do grubiaństwa, a jeszcze nie było trzeciej. Jeden z Duńczyków, Torben, nachylił się nad popielniczką, w której umierały dwa papierosy. – Naprawdę nazywasz się Barnum, czy to pseudonim? – spytał. – Naprawdę się tak nazywam, ale używam tego jako pseudonimu. Było z tego trochę śmiechu i Peder próbował wznieść kieliszki, ale Duńczyk tak łatwo nie ustępował. – To twoje imię czy nazwisko? – Jedno i drugie. Zależy od tego, z kim rozmawiam. Torben się uśmiechnął. – Czy Barnum to nie był amerykański oszust? *There's a sucker born*

every minute. – Pomyłka – stwierdziłem. To powiedział pewien ban-
kier. David Hannum. Ale to Barnum powiedział: *Let's get the show on
the road*. Peder zdołał wreszcie wtrącić toast. Stuknęliśmy się kielisz-
kami i teraz z kolei drugi Duńczyk, Preben, nachylił się nad stołem. –
My po prostu uwielbiamy *Wikinga!* Cudowny scenariusz. – Bardzo
dziękuję – powiedziałem i wypłem sznapsa. Szkoda tylko, że nigdy
nie powstał z niego film. Peder postanowił się włączyć: – Nie będziemy
się wdawać w szczegóły. – Owszem, uważam, że powinniśmy. Peder
kopnął mnie pod stołem. – Patrzymy teraz w przyszłość – powiedział.
Nowe projekty. Nowe pomysły. Byłem już bliski wstania, ale mi się to
nie udało. – Skoro uważacie, że scenariusz jest cudowny, to dlaczego
nie nakręcicie filmu? Peder spuścił wzrok, a Torben przez moment
wiercił się na krześle, jak gdyby siedział na olbrzymiej pinezce. – Gdy-
by udało nam się obsadzić w głównej roli Mela Gibsona, może by i po-
szło. Drugi Duńczyk, Preben, pochylił się do mnie. – W dodatku *action
jest out*. *Action jest old fashioned*. – *But what about vikings in outer
space?* – spytałem. Zadzwoił któryś z telefonów. Wszyscy złapali za
swoje, jak trochę zmęczeni rewolwerowcy. Wygrał Tim, Anglik. Była
mowa o wielkich liczbach, w przelocie padło parę równie wielkich na-
zwisk, Harvey Keitel, Jessica Lange. Nie pozostawało nic innego, jak
tylko uśmiechać się do siebie nawzajem i wypić. Udało mi się wstać
i pójść do toalety. Opróżniłem dzin, oparłem czoło o ścianę i usiłowa-
łem wymyślić, co im zaserwować. Nie chciałem dawać tego, co miałem.
Byłem splukanym autorem scenariuszy, na którego czekali trzy godzi-
ny. Nagle przed oczami stanęło mi odbicie w lustrze windy. Nie był
to piękny widok. Uszkodzona powieka opadała ciężko. Próbowiałem
znaleźć moment, w którym mógłbym się ukryć. Nie znalazłem. Kiedy
wróciłem, zobaczyłem, że Peder zamienił moją wódkę na kawę. Za-
mówiłem podwójnego sznapsa. Tim siedział gotowy – z terminarzem
grubszym od Biblii w hotelu Kempinski. – Jak rozumiesz, Barnum,
zajmujesz wysokie miejsce na naszej liście scenarzystów, z którymi
chętnie byśmy współpracowali. Peder uśmiechał się od ucha do ucha. –
Macie jakieś konkretne projekty? – spytałem. – Chętnie posłuchamy,
z czym przyszedłeś. – Wy pierwsi – powiedziałem. Żebym trochę

lepiej wiedział, na czym stoję. Tim wolno przeniósł wzrok ze mnie na Duńczyków. Peder znów okropnie się pocił. – Barnum lubi przerzucać piłeczkę – powiedział prędko. Zabrzmiało to tak bezsensownie, że nie zdołałem powstrzymać się od śmiechu. Śmiałem się głośno. Barnum lubi przerzucać piłeczkę. Peder ponownie kopnął mnie w łydkę. Zachowywaliśmy się teraz jak stare małżeństwo. Nagle stanął przede mną sznaps. Włączył się Torben: – Okej, Barnum. Chętnie pogramy w piłkę. Chcemy zrobić *Dziką kaczkę*. *Action*, jak mówiliśmy, jest niemodna. Publiczność interesują rzeczy wszystkim bliskie, prawda? Na przykład rodzina. Stąd *Dzika kaczka*. Peder nie przestawał się we mnie wpatrywać. Było to bardzo denerwujące. – To coś dla ciebie, Barnum – stwierdził w końcu. No nie? W ciągu paru miesięcy przerobisz tę sztukę na film, prawda, Barnum? Ale nikt teraz nie słuchał Pedera. – Czy to ma być norweska produkcja? – spytałem. A może skandynawska? – Coś większego – odparł Torben z uśmiechem. Amerykańska. Keitel. Lange. Robbins. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby włączyć Maxa albo Gittę. Ale dialogi muszą iść po angielsku. Inaczej nie będzie pieniędzy. – No i musimy to trochę unowocześnić – prędko dodał Preben. – Umieścimy akcję w naszych czasach. *Dzika kaczka* w latach dziewięćdziesiątych. – Co z tego przyjdzie? – spytałem. – Oczywiście, że umieścimy akcję we współczesności – powiedział Peder. Chyba nie interesuje nas film kostiumowy, prawda? Na moment zapadła cisza. Zobaczyłem jeszcze jednego sznapsa. Tim szepnął coś Prebenowi, który odwrócił się do mnie. – Myśleliśmy o czymś takim jak skrzyżowanie *Rain Mana* z *Jesienną sonatą* – powiedział. Musiałem mocniej się nachylić. – Przepraszam? Skrzyżowanie czego z czym? – Chcemy po prostu pokazać geniusz Ibsena – powiedział Torben. Jego uniwersalność. – Uniwersalność? Jakby skrzyżowanie *Pani Daisy* ze *Śmiercią komiwojażera*? Wzrokiem Torbena trochę szarpnęło. Dwaj pozostali roześmiali się krótko. Peder nie mógł już dużej wytrzymać. Próbował znaleźć właściwy ton. – Ktoś ma ochotę na coś do jedzenia? – spytał. Nikt nie odpowiedział. Peder zapalił papierosa. Rzucił osiem lat temu. Torben złożył ręce i popatrzył na mnie ponad kostkami dłoni. – A jaką ty masz piłeczkę, Barnum? – Film pornograficzny – odpar-

łem. – Pornograficzny? – Siedziałem dziś rano w swoim pokoju i oglądałem pay-tv. Uderzyło mnie, że te pornosy są zrobione niezdarnie i bez talentu. Zero dramaturgii. Beznadziejne postacie. Przerażająca obsada. Niezwykle ubogie dialogi. Odpychająca scenografia. Torben się zniecierpliwiał. – Masz na myśli film erotyczny, prawda? – Ależ skąd. Mam na myśli porno. Twarde porno. Z niezłą story, interesującymi postaciami i ostrą jak sztyft dramaturgią. Arystotelesowska hierarchia aż do orgazmu. Porno dla nowoczesnej publiczności. Zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet oraz dla wszystkich innych. Skrzyżowanie *Nory z Głębokim gardłem*. To uniwersalne.

Pierwszy wstał Anglik. Duńczycy za nim. Podali Pederowi rękę. Wymieniono wizytówki. – Będziemy w kontakcie – powiedział Peder. Barnum może w ciągu paru miesięcy przygotować szkic. – Przypomnij mu, że to Ibsen – odparł Torben. A nie pay-tv. Peder roześmiał się głośno. – Bez obawy! Mam Barnuma pod kontrolą.

Wielkie chłopaki wyszły. My siedzieliśmy. Peder milczał jak zakłęty. Peder jest jedyną osobą, o której tak mówię. Kiedy bowiem Peder postanawiał się nie odzywać, milczał jak zakłęty. Teraz milczał jak nigdy dotychczas. Nauczyłem się z tym żyć. Jeśli w ogóle coś potrafisz, to przebywać z ludźmi milczącymi. Wystarczy tylko trzymać gębę na kłódkę, żeby się przekonać, kto się odezwie pierwszy. Przegrał Peder. – Poszło naprawdę niezłe – powiedział, patrząc na mnie. Spóźniłeś się trzy godziny, a kiedy wreszcie się zjawiłeś, byłeś bezczelny, skacowany i przyszedłeś z pustymi rękami. Z kompletnie pustymi rękami. To niewiarygodne. Twoje zdrowie, Barnum. Wypiliśmy trochę i teraz z kolei ja musiałem coś powiedzieć. – Myślisz, że Meryl Streep zagra kaczkę? – spytałem. Peder nie patrzył na mnie. – Jesteś na krawędzi, Barnum. Boże. Arystotelesowskie porno! – Co masz na myśli, mówiąc „na krawędzi”? – Dobrze wiesz. – Nie, wcale dobrze nie wiem. Peder gwałtownie znów obrócił się w moją stronę. – Już to widziałem, Barnum. Widziałem twój upadek. I nie chce mi się już iść za tobą. Wstałem. Nagle ogarnął mnie niepokój. Powróciła twarz z windy, cały sześcian twarzy, które nawlekano na mnie, jedną po drugiej. – Cholera, Peder. Nienawidzę sposobu, w jaki rozmawiają.

Skrzyżowanie *Rain Mana* z *Jesienną sonatą*. Całego tego gówna, do którego się zmuszają. Po prostu tego nienawidzę. – Dobra, dobra. Ja też tego nienawidzę. Czy jest mi z tego powodu przyjemnie? Oni tak gadają. Wszyscy tak gadają. Skrzyżowanie *Absolwenta* z *Kevinem samym w domu*, a *Na nabrzeżach* z *Pretty Woman*. Pewnego dnia my też będziemy tak mówić. Peder odstawił sznapsa, oparł głowę na rękach i znów popadł w milczenie. – Spotkałem Lauren Bacall – oznajmiłem. Peder wolno podnosił głowę. – Co ty wygadujesz? Usiadłem z powrotem. Opowiadając o tym, musiałem siedzieć. – Widziałem Lauren Bacall – powiedziałem. Prawie na nią wpadłem. Peder przysunął krzesło i leciuteńko się uśmiechnął. – Naszą Lauren Bacall? – Przestań, Peder. Jest jakaś inna Lauren Bacall niż nasza? – Oczywiście, że nie. Przepraszam. Jestem trochę wytrącony z równowagi. Przed chwilą widziałem, jak wychodzą stąd trzy worki z pieniędzmi. Wziąłem go za rękę, była gorąca i niespokojna. – Jak wyglądała? – szepnął. Nie spieszyłem się. – Jak sfinks – powiedziałem. Jak niebieski sfinks, który oderwał się od cokołu światła reflektorów. – Świetnie, Barnum. – Padał deszcz, a ona nie zmokła, Peder. – Wyobrażam to sobie, Barnum. Wydaje mi się, że Peder również na kilka sekund odpłynął w marzenia. Twarz zmieniła mu się w twarz dziecka, a pomiędzy kołnierzykiem koszuli i uchem zobaczyłem u niego wyraźnie gęsią skórę, jak gdyby wrosła w to miejsce na stałe tamtego wieczoru w kinie Rosenberg, w rzędzie czternastym, kiedy jednocześnie objęliśmy Vivian w chwili, gdy Lauren Bacall powiedziała zachrypniętym głosem: *Nothing you can't fix*.

A potem Peder jakby wrócił i nagle się postarzał. Głęboka bruzda, na którą wcześniej nie zwróciłem uwagi, ciągnęła się na ukos od lewego oka, wśród wachlarza wcześniejszych zmarszczek, wprowadzając jego twarz w stan nierównowagi, przez co głowa przechylała mu się na bok. Peder i ja zaczynaliśmy upodabniać się do siebie. – A tak w ogóle to dzwoniła Vivian – powiedział. Wydaje mi się, że martwi się o Thomasa. – Vivian zawsze się martwi. Peder pokręcił głową, ze smutkiem. – Uważam, że powinniśmy kupić dla Thomasa coś ładnego. Spróbowałem się uśmiechnąć. Nie wyszło. – Jasne. – Roześmiałem się. Pamiętasz chyba, co powiedziały te wielkie chłopaki? Teraz liczy

się rodzina. Peder zagłębił się w swój kieliszek i przez chwilę milczał. – Wszyscy uważają cię za sukinsyna – szepnął w końcu. Słyszałem, jak to mówi, ale słowa do mnie nie dotarły. – Wszyscy? – spytałem. Teraz Peder patrzył na mnie. – Tak napędce nie potrafię sobie przypomnieć nikogo, kto by tak nie uważał. – Thomas też? Peder odwrócił się i popatrzył w inną stronę. – Thomas to spokojny chłopiec, Barnum. Nie wiem, ile rozumie. Zapaliłem papierosa. Bolało mnie w ustach. Nakryłem ręką palce Pedera. – Może zrzucimy się na coś dla niego? Coś naprawdę fajnego. Dobra? – Jasne – odparł Peder.

Później przenieśliśmy się do baru festiwalowego. To tutaj przesiadawali ludzie z branży. Peder uważał, że musimy być widoczni. Tak powiedział. Musimy być na widoku, blisko, na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Dla zachowania równowagi zjedliśmy kilka tłustych kiełbasek. Piliśmy płyn kontrastowy z lodem. Byliśmy widoczni. Znów, zdaje się, była mowa o Sigrid Undset i o tym, czy reżyser w ogóle da radę zrobić film z *Krystyny córki Lavransa*. To była elita. Ja się nie mieszałem. Mieszałem jedynie drinki i myślałem o Thomasie. Byłem sukinsynem. Powinienem mu kupić wielki prezent, powinienem kupić cały mur, na którym mógłby pisać, i dźwig z Berlina. Powinienem przywieźć boski zestaw klocków Meccano, żeby Thomas, syn Vivian, mógł skrócić niebo na nowo. Głosy dochodziły teraz ze wszystkich stron. Zapiłem się. Gdy zamknąłem oczy, zniknęły wszystkie dźwięki, jak gdyby nerw wzrokowy był połączony z labiryntem ucha, ale upłynęło już dużo czasu, odkąd przestałem wierzyć, że wystarczy dobrze zamknąć oczy, a świat po prostu zniknie. Najbardziej chciałem, żeby zniknęło jedno i drugie, zarówno dźwięki, jak i świat, w którym te dźwięki powstały. Kiedy bowiem otworzyłem oczy, zobaczyłem, że zbliża się recenzentka z sauny, ta, która była dla mnie złym znakiem. Już miała festiwalowe spojrzenie, wyglądała jak cyklop na rauszu. Oczywiście pogładziła Pedera po plecach. – Macie coś, o czym można napisać do domu, chłopaki? Oprócz tego, że Barnum funduje colę Cliffowi w saunie? Peder wysunął głowę w przód, jak gdyby pod sufitem było niebezpiecznie mało miejsca. – Za wcześniej, żeby coś powiedzieć – stwierdził. Ale lont płonie. Napisz, że Miil i Barnum są na boisku. Sarna przytuliła

do niego całą sukienkę. Byłem już bliski zamówienia sprzętu do oddychania. – Zajęliście sobie jakieś wygodne miejsca w *Krystynie*? Może Barnum przetłumaczy scenariusz ze szwedzkiego? Peder odsunął jej rękę na bok. – Jeśli *Krystynę córkę Lavransa* porównamy do szampana, to można powiedzieć, że my robimy ciężką wodę. Sarna zaśmiała się krótko i wygięła się do tyłu, żeby nie przepadła jej ani kropla z dna pękatej koniakówki. – Powiedzcie coś więcej, chłopcy. Dość już mamy starych metafor. – Wyobraź sobie skrzyżowanie *Sarny z Jeleniami na rykowisku* – powiedziałem. Odwróciła się wolno w moją stronę, udając, że dopiero teraz mnie zauważyła. Tak oczywiście nie było. Widziała mnie przez cały czas. Skrzywiła się powoli. – Podrzucimy ci wiadomość, gdy nadejdzie czas – obiecał prędko Peder. Na wyłączność. Ale ona wciąż patrzyła na mnie. – No to umowa stoi. Pozdrów Cliffa, Barnum. Sarna pochyliła się nagle do mojego ucha. – Niech was cholera – szepnęła.

Potem zniknęła w gęstej mgle, idąc w stronę toalet. Peder zaczął mnie ciągnąć za marynarkę. – Czy ona mówiła o Cliffie w saunie? O Cliffie i Barnumie w saunie? – W Niemczech sauny są koedukacyjne, Peder. Myślisz, że to może mieć jakiś związek z wojną? – O czym ty mówisz? Byłeś w saunie z Cliffem? – Sarna już tam siedziała. Pierwszy raz widziałem ją nagą. – O tym wolałbym nie słuchać, Barnum. – Przypominała miękką gruszkę. – Co ona ci szepnęła? – Tylko moje stare hasło. Niech was cholera. Peder podniósł oczy do nieba, ale zaraz wrócił na ziemię. – Nie drażnij jej, Barnum, żeby więcej nie wypisywała o tobie takich bzdur. To ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba.

Kiedy Peder od wielkiego dzwonu się upijał, wszystko w nim zwisało, włosy, zmarszczki, usta, palce, ramiona. Alkohol działał w jego ciele jak obciążnik. Cały Peder opadał ku butom. Mogłem mu powiedzieć, że jesteśmy teraz już prawie starzy, że jesteśmy dwoma dziwnymi kumpami, którzy w życiu dzielili się wszystkim, a teraz została im z tego zaledwie połowa. Mogłem też, z uśmiechem, delikatnie, powieść palcem wzdłuż najgłębszej zmarszczki na jego twarzy.

– Ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba – powiedziałem – jest twoje gadanie o ostatniej rzeczy, jakiej mi potrzeba.

– Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest drink – odparł Peder.

Podniósł rękę, lecz i ona opadła, legła wśród popielniczek, mokrych serwetek i butelek. Ktoś śpiewał po norwesku przy stoliku, przy którym na szczęście nie zmieściłoby się więcej osób. Zbliżyły się napi-sy końcowe. Przyniesiono ostatnie drinki, jakich nam było potrzeba. Peder podniósł szklankę obiema rękami. – Twoje zdrowie, Barnum. Właściwie nie mamy już w Berlinie nic do roboty. Oprócz kupienia prezentu dla Thomasa. A może i o tym już zapomniałeś? Spuściłem głowę i nagle przypomniałem sobie, co mam w walizce w pokoju hotelowym. – Przywiozłem scenariusz – powiedziałem. Peder spokojnie odstawił drinka. – I dopiero teraz o tym mówisz? Że przywiozłeś, do cholery, scenariusz? – Nie cieszysz się, Peder? – Czy się cieszę? Do diabła, daj mi coś, Barnum! Chociaż maleńką wskazówkę. Tytuł! – *Człowiek nocy* – powiedziałem. – *Człowiek nocy* – powtórzył Peder i uśmiechnął się. – Musisz wszystko powtarzać? – O czym to jest, Barnum? *Pitch* mi coś, Barnum! Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Tak teraz mówiliśmy. *Pitch* mi. Podrzuc mi coś. Daj. – O rodzinie. A o czym innym? Peder obiema rękami złapał się za głowę i zaczął nią potrząsać. – Dlaczego nic nie powiedziałeś na tym spotkaniu? Dlaczego, do cholery, nie przyniosłeś scenariusza na spotkanie? – Dlatego że mnie obudziłeś, Peder. Puścił swoją głowę, przechyliła się na ramię. – Obudziłem cię? – Tak, Peder. Dzwonisz, budzisz mnie, odkładasz słuchawkę i wszędzie zostawiasz wiadomości. Ledwie w saunie udaje mi się trochę pobyć w spokoju. Nienawidzę tego. A ty o tym wiesz. – Wiem, Barnum. – Nienawidzę, jak się mnie szarpie. Przez całe życie byłem przestawiany i szarpany. Wszyscy mną dyrygowali. Najzwyczajniej w świecie mam tego dość, Peder. Peder miał w oczach zupełną pustkę. – Skończyłeś już, Barnum? – Nie marudź. Peder przysunął się bliżej i próbował się wyprostować. Prawie mnie wziął za rękę. – To nie ja dzwoniłem – szepnął. I nie zostawiałem ci żadnych wiadomości.

W chwili gdy to powiedział, wytrzeźwiałem i poczułem chłód, a wszystko wokół mnie się roztrzęsło, wstrętne i bliskie. Wiedziałem o tym. Wszystko, co odkładałem na później, działa się teraz. Wyszedłem. Peder usiłował mnie zatrzymać. Nie udało mu się. Wyszedłem na

berlińską noc. Padał śnieg, między światłami a ciemnością migotało. Słyszałem wrzaski zwierząt w zoo. Szedłem wśród ruin, mijałem restauracje, których nigdy nie zamykano, do hotelu Kempinski, przed którym równiutkim szeregiem stały te same limuzyny, jak przerobione karawany w beznadziejnej kolejce, a stary siwowłosy portier otworzył ciężkie drzwi, pozdrowił mnie gestem ręki uniesionej do czapki i uśmiechnął się wyrozumiale, pojechałem windą do swojego pokoju, otworzyłem kluczem drzwi i zobaczyłem, że pokojówka posprzątała, zmieniła ręczniki, kapcie i szlafrok, telefon wciąż błyskał czerwono, szarpnąłem słuchawkę, ale usłyszałem tylko obcy sygnał, i wtedy zobaczyłem kopertę, tę, którą złożyłem i schowałem do kieszeni tamtego szlafroka, leżała na biurku, przy półmisku z owocami i butelce festiwalowego czerwonego wina. Wypuściłem słuchawkę z ręki i podszedłem do biurka. Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem kartkę. Usiadłem na łóżku. To był faks, na samej górze mogłem przeczytać, skąd go nadano: Szpital Gaustad, Oddział Psychiatryczny, dziś rano, godzina 7.41. Tylko dwie pochyłe linijki, nakreślone ręką matki drżące litery: *Kochany Barnumie. Nie uwierzysz. Fred wrócił. Przyjeżdżaj do domu najszybciej jak możesz. Matka.*

Przeczytałem te dwie linijki jeszcze raz i wstałem, prawie spokojny, moje ręce, które podniosły kartkę, były spokojne, tak, moje ręce były spokojne, zerknąłem przez ramię, szybko, tak jak zwykle to robię, jak gdyby mi się wydawało, że ktoś stoi za mną, w cieniu przy drzwiach, i nie spuszcza ze mnie oka.